

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

## Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

jeśli się poselstwo uda, to trzeba będzie porzucić rozpoczęte tu dzieło — myślał ślusarczyk.

Tyle mokołów, tyle pracy na darmo! Żał mu było zwłaszcza kuźni, którą zbudował z pomocą Wojciecha i wernego Leona, Nesabila, jak zwała Ziemiaka jego opiekunka Marcinowa, a za nią wszyscy koloniści. Biedny Nesabil, chociaż nie odzyskał dawnych zdolności, umiał być użyteczny zwłaszcza, gdy chodziło o oddanie przysługi Stefanowi. Był też jego prawą ręką w kuźni, Stefan kuł młotem żelazo, a Leon miechem podniecał ogień z szyszek araukaryi i patrzył w oczy Lutemu, czy nie wyczyta z nich gniewu lub troski.

Nesabil wiedział, że od wyprawy do Geralda, Stefana dręczy niepokój, że bez zapłału pracuje w kuźni, ale biedny idyota nie umiał sobie zdać sprawy z tego, co zajmowało ślusarczyka. My wiemy jednak, jakie myśli mąciły jego spokój. Powiązane lianami ścieżki były mu nowym dowodem, że Botokudowie, z którymi rozpoczynał walkę, mieli prócz dzikich i krwiożerczych, szlachetne uczucia w sercu. Dlaczego życie stawiało go w konieczności walki z tymi, których wolałby znać i oświecać? Myślał o młodej Indyanie, uważał ją za dobrego ducha kolonii i szczerze pragnął być jej pomocnym. Nie wiedział, że padła ofiarą przesądu i ciemnoty, że błąka się po puszczy i nie ma nikogo, kto by dał radę stroskanej o ojca córce. Sęp unikał widoku towarzyszy broni, wyrzucając sobie, że dla ocalenia dziecka zgubił ich i sprawę Burungów. Sumienie nie dawało mu spokoju. Zdał prowadzenie wojska na Makusiego, a sam kopał doły, truł wody, chciał być blisko nieprzyjaciela, bo szukał śmierci.

— Nadstawię własne piersi pod pioruny wroga, może Wielki Duch przebaczy mi zdradę, — mówił nieszczęśliwy



Sęp pędził wprost ku gromadzie wracającej z majowego nabożeństwa.



Indyanin. On pragnął bitwy, bo mogła mu przynieść upokojenie śmierci, ale ta, dla której okrył się hańbą, jego jedynaczka, myślała tylko o tem, jakby przeszkozić walce. Chciała ocalić ojca i nie dopuścić porażki Burungów, bo przegrana bitwa ściągnie hańbę na głowę wielkiego wodza.

Dlatego to oplątała lianami drogi wiodące do kolonii. Będzie czuwała, aby nie stała się krzywdą białym twarzom, a one przez wdzięczność nie wypuszczą piorunu na Sępa.

— Białe twarze są dobre — powtarzała uparcie, czyż mogli nie być dobrymi ludzie wyglądający tak pięknie?

Suya miała teraz sposobność napatrzenia się im do woli. Ukryta między gałęziami rozłożystego dębu i obdarta wybornym wzrokiem, przyglądała się kolonistom pracującym w polu, podziwiała ich broń, narzędzia, strój, zwłaszcza zaś jasne włosy mieniające się złotem, jak miód żółty w słońcu i oczy przypominające kwiaty z nad brzegów strumienia.

Nie śmiecie się z Suyi. Lud nasz jest istotnie bardzo piękny, ma dostojność postawy i zachowania, które budzi podziw u obcych. Córka cesarza dom Pedra, donna Izabella, zawołała zobaczywszy twarze okolone lnianemi włosami, niebieskie dobre oczy naszych wieśniaków:

— To sami Święci, ci Polacy!

Świętymi oni nie są, prawdą jest jednak, że kolonista polski ma w sobie materiał na najszlachetniejszy typ rolnika obywatela. A jednak ludność miejska przypatruje się nieraz wieśniakom w sukmanach jak menażeryi nie jak braciom, braciom, którzy z rozdartem sercem opuścili wioski, zmuszeni szukać zarobku aby zdobyć chleb dla pozostałych w domu rodzin. Słusznie więc Suya podziwiała polskich kolonistów. Słońce weszło krwawo, Tomasz kiwał głową zasmucony, czytał płynniej w niebieskiej księdze niż w drukowanym modlitewniku.

Maj, myśli Grażela i widzi jak na jawie ojczyste pola okryte zieloną runią żytniską, z którego za sprawą świętej Zofii niedługo kłosa wywijają się będą, widzi pęki bżów liliowych i drogę prowadzącą do kościoła. Westchnął smutno, wyjął ze skrzynki „Złoty ołtarzyk,” obtarł go z pyłu, pocałował książkę, a teraz idzie uroczystym krokiem do lasu, tam gdzie przybił na sośnie obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Idzie za Tomaszem cała gromada, a każdy powtarza w duszy czarowne słowa, maj! wiosna!

Tu w Brazylii wiosny prawdziwej, polskiej, słonecznej wiosny, nie uświadczą nigdy, a ta nawet jaka bywa, zaczyna się z końcem września wtedy, kiedy my w Europie zimowe przygotowujemy zapasy.

Pamiętała Kasia Skowronczanka, jak maj święcić należy i ustroiła obrazek Matki Boskiej w najpiękniejsze kwiaty, ślubując, że jeśli Wojciech szczęśliwie z Kurytyby wróci, ona korale, których zazdrościły jej dziewczęta, na ofiarę Częstochowskiej Panience zawiesi.

Kłękła gromada około sosny, Tomasz rozpoczął litanią i jak wołanie loretańskiego dzwonka biegło po rosie „Módl się za nami” „Zmiłuj się nad nami” powtarzano drżącemi od wzruszenia usty. Z piersi wygnanców zostawionych bez opieki, wśród obcych sobie lasów, wyrwała się pieśń: Gwiazdo morza.

Zachowaj srogiej wojny, śpiewali osadnicy, błagając o pomoc w obec nagłej śmierci i ściskając w rękę siekiere, bez której nikt już teraz nie wychodził z domu.

W puszczy jednak nie odczuwał się dotąd żaden groźny szmer, ucichło nawet nawoływanie sowy, które Tomasz słyszał dziś blisko baraku. Koloniści z dobrą otuchą wstali od pacierza, bo słońce wypłynęło wysoko ponad bór a o Bugrach milczały leśne echa. Czemż jednak wzrok człowieka nie przenika gąszczy? Skraj puszczy cichy był i bezpieczny, ale tam w głębi, o staję drogi od uprawnych pól, migały między zwojami lian głowy ubrane w pioropusze, pełzali Indyanie pomiędzy krzakami ananasów, słysząc

było ciche nawoływanie i szelest strzał w kołczanach. To Burungowie szli zwartym szeregiem na polską osadę.

A tymczasem bliżej, w konarach tej samej sosny, pod którą modlili się wychodźcy, siedziała zdyszana i drżąca Suya. Widzieć stąd mogła nie tylko całą kolonią, ale przygotowania Indyan do walki. Nie zapobiegnie jej więc, nie przeszkodzi nieszczęściu!

Jakże mało była dziś podobną do zuchwałej dziewczyny, która wbrew woli ojca przestrzegająca Stefana o niebezpieczeństwie. Żal za zabity sarną, niepokój, głód wreszcie, bo od opuszczenia szałasów zjadła tylko kilka orzechów, odebrały Suyi zwykłą śmiałość.

— Wisi nademną przekleństwo Gundahaniego — mówiła ocierając łzy płynące po wychudzonej twarzy.

Biedny ptak Boży! Suya nie więcej od ptaka miała doświadczenia i rozumu. Drugą już dobę spędziła tu, czekając na sposobność zapobieżenia walce. Dziś straszyl ją o północy wrzask sowy, wiedziała że to Makusi, Waika i Manao prowadzą swoje wojsko.

Trzeba więc działać natychmiast, biedz do białych twarzy, prosić o miłosierdzie nad Bugrami, powiedzieć, że ich strzały nie są zatrute, nie przyniosą szkody — myślała ale nie zeszła z drzewa bo brakło jej odwagi budzić uspio-nych. Nie słyszała dotąd syku węża, było to hasło głównego wodza. Ponury Sęp milczał.

— Walka rozpocznie się zatem w południe — pocieszała się Suya i usnęła, kiedy już gwiazdy gasnąć zaczęły nad puszcza \*).

Spała krótko, gdyż obudził ją śpiew. Nie oblił się dotąd nigdy taki o jej uszy, chociaż rozróżniała głosy wszystkich ptaków leśnych.

Dzwonił w powietrzu jeden tylko ton, na który odpowiadał chór słodki i rzewny. Przetarła oczy, nadstawiła różowe uszka, wtuliła głowę w ramiona jak wiewiórka i słuchała. Ogarnęło ją wzruszenie. Może ona już nie żyje? Może Wielki Duch przeniósł ich do swoich lasów, gdzie tak cudnie a przytem tak smutno śpiewają ptaki. Zapomniała śledzić za Burungami następującymi na osadę, zapomniała wyrzutów sumienia, troski o ojca. Dwie łzy błysnęły w czarnych oczach Indyanki które jak krople niebieskiej rosy spadły na otwartą książkę Tomasza.

Biedne pogańskie dziecko!

Ale nim Suya potrafiła opanować wzruszenie, rozległ się po lesie syk węża. Drzewo podawało drzewu echo złowrogiego hasła, syk był przeciągły, stłumiony. Sęp nie czekał południa, dręczony wyrzutami sumienia szukał śmierci.

Osadnicy szli już do zwykłej pracy w polu. Nim zdążyli się opamiętać, nim podnieśli siekiery, wypadł z puszczy człowiek więcej do upiory niż do ludzkiej istoty podobny.

Suya nie poznała własnego ojca. Dlaczego biegł sam? Gdzie byli jego wojownicy? Dlaczego nie napiął łuku, nie wypuszczał na nieprzyjaciela strzał, jak to czynić zwykli Burungowie. Zdawał się nieprzytomny, pędził wprost ku gromadzie wracającej z majowego nabożeństwa.

Miał na głowie wielki pióropusz, zwykły strój wodza, z ramion i bioder zwieszały mu się zwoje lian i sznury jaguarowych zębów. W rękę trzymał oszczep zakończony kościanym dziurtem, ten sam oszczep, na którym czerniała dotąd krew zabitej sarny. Jak rozjuszony byk widzi przed sobą tylko człowieka, którego chce przebić rogami, tak oszalała Sęp, widział tylko białych nie mierzając niebezpieczeństwa na jakie się narażał.

Nagłość natarcia ocaliła kolonistów. Patrzyli więc zdziwieni niż przestraszeni na zuchwalca, podobnego do stracha z bajki.

(d. c. n.)

\*) Botokudowie napadają zwykle w południe, nigdy wieczorem, a rzadko bardzo z rana.



## Pogadanki z dziedziny chemii.

### VI. Dziwne skutki wypływające z chemicznego łączenia się pierwiastków.

**W**idzimy, że z tlenu, wodoru i azotu można zrobić trzy gazy, nie mające do siebie żadnego podobieństwa.

Wodór i tlen połączone chemicznie dają wodę, chociaż żaden z tych gazów nie jest do wody wcale podobny. Tlen znajduje się w powietrzu, podtrzymuje oddychanie i palenie się ciała. Wodór nie podtrzymuje oddychania, ani palenia, ale za to sam się pali bardzo gorącym płomieniem. Jeżeli będziemy wdmuchiwać do płomienia wodorowego czysty tlen, albo też każemy się palić wodorowi w atmosferze tlenu, to otrzymamy nadzwyczajnie gorąco; w słabo świecącym płomieniu tych dwóch gazów topnieje nie tylko szkło, ale najtwardsza nawet stal pali się w nim, rozrzucając iskry na wszystkie strony. A przecież związek chemiczny tych dwóch gazów jest zwyczajną wodą, która nie tylko się nie pali, ale nawet gasi ogień.

Tlen i azot są także gazami, które pomieszczone razem dają powietrze. Wszystko powietrze otaczające ziemię i przenikające nasze ciała, składa się z 4 części azotu i 1 części tlenu. Jeżeliby gazy zawarte w powietrzu mogły w jakiś sposób połączyć się chemicznie ze sobą, to na powierzchnię kuli ziemskiej wylałby się ocean kwasu azotowego i zniszczyłby życie organiczne. To nam dobrze maluje różnicę pomiędzy mieszaniną zwyczajną a związkiem chemicznym. Siła chemiczna jest więc dziwną siłą, skoro może związać dwa nieszkodliwe a nawet potrzebne dla życia gazy w kwas azotowy, nie mający żadnego podobieństwa do swych części składowych.

Weźmy jednak jedną część składową wody, mianowicie wodór iłączmy go z niewinnym na pozór azotem, a otrzymamy nowy gaz o przenikającym zapachu, zwany amoniakiem, a będący tak ostrym, że wywołuje łzy z oczu.

Jeżeli jeszcze dodamy, że własności amoniaku są wręcz przeciwne własnościom kwasu azotowego, to wywnioskujemy stąd, że siła chemiczna objawia się w bardzo dziwny sposób, tworzy bowiem z dwóch pierwiastków substancję zgoła niepodobną do żadnego z nich.

Jeżeli chcemy rzucić spojrzenie poza zasłonę, musimy przypomnieć sobie o większym, albo mniejszym powinowactwie czyli skłonności dwóch ciał do łączenia się ze sobą, a także, rozpatrzyć warunki, w jakich odbywa się owo połączenie, gdyż od tych warunków zależą własności nowopowstającego ciała. W dalszym ciągu będziemy mówili o owym powinowactwie i o warunkach niezbędnych dla wprawiania w ruch przyciągającej siły; tymczasem jednak przytoczymy parę faktów, wykazujących, jak dziwne zmiany wywołuje siła chemiczna w łączących się ze sobą substancjach.

O azocie wiemy, że jest to całkiem nieszkodliwy gaz, to samo da się powiedzieć o węglu; tymczasem te dwa pierwiastki łącząc się ze sobą chemicznie, dają niezmiernie trujący gaz zwany cyanem. Dodajmy jeszcze do cyanu równie nieszkodliwego wodoru, a otrzymamy kwas pruski zabijający nieledwie w okamgnieniu. Jeżeli otrutemu kwasem pruskim damy bezzwłocznie powąchać amoniaku, to ratu-

nek staje się jeszcze możliwy, jakkolwiek amoniak zawiera azot i wodór: dwie składowe części kwasu pruskiego! Niszcząca siła chloru przy bieleniu tkanin jest znaną każdemu. Oddychając chlorem, można się udusić, a co najmniej dostać krwotoku z płuc. Z drugiej strony sód jest metalem, który także działa jak trucizna, gdy go połknąć, albo wzmieszać z wodą daje sodę gryzącą. Tymczasem łącząc chemicznie sód z chlorem, otrzymujemy zwyczajną sól kuchenną, którą bezkarnie używamy codziennie do potraw. A więc chemiczny związek może uczynić nieszkodliwymi dwa ciała, z których każde jest trucizną.

Wł. U.

## Z WYCIECZEK WAKACYJNYCH.

### Kamieniec Podolski.

**K**ochany Stasiu! Daleko zajechałem w tym roku na wakacje, bo aż nad Smotrycz, w okolice Kamieńca. Przeczytawszy w „Wieczorach” listy jakiejś panny Madzi do swojej przyjaciółki o Ojcowie, powziąłem myśl opisania tobie tego starożytnego grodu, ale nie tak prosto z mojej własnej z głowy, lecz z tego, co wujcio mnie i Tadziovi opowiada. A więc czytaj i myśl o mnie. Twój J. B.

#### I.

— Wiele świata przejechać trzeba — rzekł wujek — by znaleźć miasto tak zdumiewające, zarówno cechami swej starożytności, jak niepowszedniem, a pięknem w swej dzikości otoczeniem natury.

Miejsce to w dziejach narodów walkami upamiętnione, nosi ślady nierównie dawniejszych, a gwałtownych przemian natury.

Napiętrzone granitowe góry, szeroko rozstąpiły się po obu stronach cichego obecnie Smotrycza, jakby dla zrobienia miejsca rzece. Popatrzmy uważnie na boki skał, a znajdziemy na nich kamiennymi głoskami wypisaną pracę wieków. Wielkie i potężne niegdyś wody przez lat tysiące tocząc spienione fale w kamiennem łóżysku, odrywały odłamki skał, unosiły je i rzucały w przepaście. Pogłębiając w ten sposób koryto, obniżały jednocześnie swój poziom; wierzchołki skał coraz więcej wychylały się z pod wody ku słońcu, a na ich nagich szczytach, kruszonych zwolna wpływem ciepłego powietrza i wilgoci, zaczęła się tworzyć sproszkowana warstwa.

Zaraz też na skrzydłach wiatru przywędrowały lotne nasiona, z trudem uczepiły się lichego gruntu i przy pomocy deszczu puściły korzenie. Z początku nędzna to była roślinność, ale z czasem grunt użyźniony corocznym rozkładem liści i korzeni, uzdolnił się do wyżywienia coraz wyższych gatunków, aż w końcu wierzchołki wzgórz lasami uwieńczone zostały.

Dziś na miejscu lasów widzimy ogrody od strony miasta, na łagodnych stokach chylące się ku rzece. Lewy zaś brzeg rzeki prawie wszędzie pionowy ze skałami, przeważnie nagimi.

Wyjątkowo dzika natura miejsca, nadającego się ku obronie miasta, podała myśl zbudowania tu twierdzy.

Najdawniejszą wzmiankę o Kamieńcu znajdujemy u ruskiego kronikarza Nestora, że „w r. 1196 toczył się bój między książętami Mścislawem a Włodzimierzem.”

W r. 1240 Batuhan, sławny wódz Mongołów, w powrocie ze zwycięskiej wyprawy, w której rzucił postrach na całą Europę, podstąpił pod Kamieniec, ścigając księcia



Michała; miasto spalił, ludność wymordował lub w niewolę uprowadził. Pozostałe zgłiszcza, świadczące o krwawych zapasach, na długo odjęły ochotę osiedlania się na niebezpiecznym stanowisku. Dopiero na początku wieku XIV go Koriatowicz, książę na Smotryczu, zachwycony miejscowością, wznosi tu gród ku obronie ziem ruskich.

Odtąd zaczynają się świetne czasy Kamieńca; powstają świątynie i zamek wyrasta na opocę. Pod skrzydła



*Wieża na placu św. Marka w Wenecji.*

jego garnie się lud z różnych stron, nawet Ormianie; z daleka przybywają pielgrzymi, zjeżdżają kupcy ze Wschodu, wioząc materye, szale, futra i tytonie.

Nie zaznało jednakże miasto długotrwałego pokoju; z rozwojem bogactw budzi się chciwość wrogów; wpadają Turcy i Tatarzy, uprowadzając łupy i niewolników. ale nie zawsze uchodzą bezkarnie. Olgierd, książę litewski w roku 1357 odnosi zwycięstwo nad trzema książętami tatarskimi nad Sinemi wodami, czem na czas dłuższy powstrzymuje napady dzikiej hordy.

Po śmierci Witolda, Władysław Jagiełło dochodzi praw swoich do Kamieńca, tocząc walkę z bratem swoim Świdrygiełłą, ale dopiero od roku 1569 gród ten staje się ważnym punktem obronnym od Tatarów i Turków; on to przoduje innym zameczkom, rozstawionym na szlaku tureckim, z których główne: Żwaniec nad Dniestrem, Paniowie nad Smotryczem, Uście nad Dniestrem, Czarnokozińce nad Zbruczem, Bar nad Rowem, Mohylów nad Dniestrem i Szarogród nad Kiełbaśnią.

Wzmocnienie Kamieńca stało się teraz nieodzowną koniecznością. Po Koriatowiczach pozostał tylko zamek obronny, rozpoczęto zatem fortyfikacje naokoło miasta. Za każdego króla powstawały nowe mury i baszty, o ile wojna nie przerywała pracy; a w miarę wzrostu twierdzy, powiększano załogę, w ciężkim trudzie strzegącą bezpieczeństwa.

Dzień i noc rycerze okuci w zbroję, nie opuszczają stanowiska, upatrując okiem sokoła czychającego bisurmana. W razie napadu szybkie sygnały alarmują miasto i jak jeden mąż zrywają się wojownicy, a spłoszony nieprzyjaciel uchodzi. Nieraz sam widok niedostępnej twierdzy odejmował ochotę kuszącym się o jej zdobycie.

Pamiętne są słowa sułtana Osmana, gdy w odwrocie z pod Chocima w r. 1620, Kamieniec oblegał. Zdumiony niezwykłym wyglądem fortecy, na wysokich skałach stojącej, rzeką i parowami otoczonej, zapytał:

— Któż to tak silną twierdzę wystawił?

— Bóg cudowną miejsca naturą — była odpowiedź parlamentarza.

— Niechże ją więc sam Bóg zdobywa — odrzekł sułtan i na odwrót trąbić kazał.

Wśród wojen kozackich, rozpoczętych pod panowaniem Zygmunta III-go, a odnawianych przez dwa następne panowania jego synów, Kamieniec daje dowody wytrzyma-

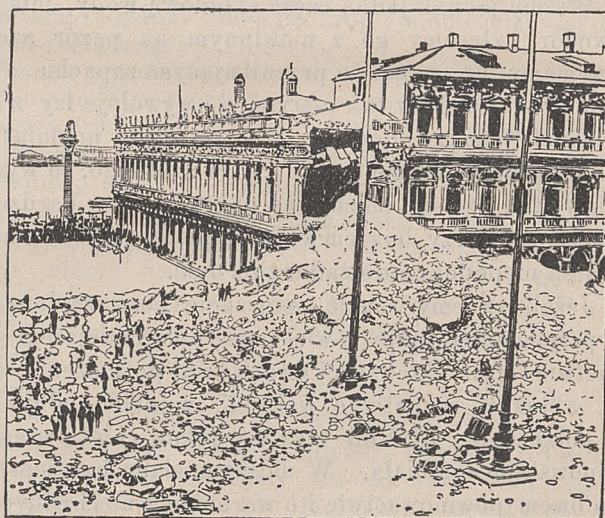
łości. W r. 1648 oblega go Krzywonos, następnie Tymoteusz Chmielnicki; na koniec sam Bohdan Chmielnicki, hetman kozacki, ale bez skutku.

Z czasem jednakże wyczerpała się odporność kamienego grodu. Po długich wojnach kraj leżał w niemocy. Wobec przewidywanej tureckiej wojny, wołano o ratunek z Kamieńca; mury potrzebowały wzmocnienia, stare zużyte działa należało zastąpić nowymi, a nieliczna załoga nie była w stanie skutecznie stawić czoła; wołano, ale na próżno.

Tymczasem sułtan Mahomet IV-ty na czele 300,000 armii, dobrze uzbrojonej i zaopatrzonej w działa, przekroczył granicę prawie bez oporu i pod Kamieniec podstąpił, uważając go słusznie za klucz całej dzielnicy. Po krótkiej walce, w której dwutysięczna tylko załoga cudów waleczności dała dowody, Kamieniec musiał się poddać, przyczem garść walecznych z Wołodyjowskim i Ketlingiem na czele, przekładała śmierć pod gruzami wysadzonego prochami zamku, nad niewolę u Turków. Prześlicznie opisał te chwile Sienkiewicz w „Panu Wołodyjowskim.”

Dopiero po 27 latach, Kamieniec na mocy pokoju Karłowickiego powróconym został przez Turcyę. Jakkolwiek w końcu nie siłą oręża, lecz drogą układów odzyskany, za panowania króla Augusta II-go, dokonały tego przecież zwycięstwa Jana Sobieskiego, a szczególnie jego pogrom Turków pod Wiedniem, który był początkiem tak wielkiego osłabienia Turcyi, że nie mogąc odzyskać dawnego znaczenia i siły, zmuszona była zwrócić swoje zabory.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka radość powstała w Kamieńcu na wieść o rychłym oswobodzeniu od muzułmanów. Bo Turcy nie dotrzymywali nigdy warunków pokoju; pomimo obietnicy zachowania wolności mieszkańców, zaraz po zajęciu miasta mnóstwo chrześcijan corocznie uprowadzali do Azji, innym bez różnicy stanów kazali ciężkie spełniać roboty przy twierdzy. Świątynie katolickie obrócili na meczety, koszary i stajnie. Z dwudziestu siedmiu kościołów trzy tylko pozostawili ku służbie Bożej chrześcijanom, cztery włączyli w mury forteczne; a resztę rujnujących się użyli za materiał budowlany.



*Wieża na placu św. Marka w Wenecji w gruzach.*

Ludność miejscową do mahometańskiej religii nakłaniali, stąd powstała pogardliwa nazwa Poturczeńca dla tych, co pod groźbą lub dla widoków materialnych haniebnie swą wiarę porzucili.

Ciekawy jest opis zwrotu Kamieńca przez naocznego świadka, księdza Bohdanowicza sporządzony. Przepiszę ci go z dzieła ś. p. Rollego.

„Gdy do Kamieńca d. 21 września 1699 r. dobiegła



wieść o układach, mieszkańcy tureccy wynieśli się na Podzamecz i rozłożyli się obozem; starszyzna i wojsko zostały na zamku; nasi stali trochę dalej z rajtaryą i piechotą, pod dowództwem komisarzy, przeznaczonych do odebrania miasta; a na ich czele był Marcin Kącki.

„Rzecz się działa w poniedziałek w dzień św. Mateusza. We wtorek z brzaskiem dziennym, wojska polskie zaczęły się zbliżać ku obozowi tureckiemu i murom warowni; wówczas jednocześnie przez bramę zamkową wyszło przeszło 200 Lipków (Tatarów) a przez Ruską, oddział janczarów, stanowiących załogę miasta, wkrótce też potem z bramy zamkowej nowy się hufiec tatarów pokazał, należący do orszaku komendanta tureckiego; za nim postępował Ibrahim basza, gospodar Wołoski i nareszcie sam basza kamieniecki, okolony dwunastu gwardzistami, uzbrojonymi w janczarki.

Jechał on na lichym tarantowatym koniu i wtórowały mu odgłosy lichej niby to huczej, chrapliwej muzyki; z baszą opuścił miasto ostatni oddział, ze stu tysięcy ludzi złożony, także przy odgłosie muzyki, w ściśnionym maszerujący szeregu.

Lipkowie utonęli w obozie tureckim, mającym wyjść z miasta, a basza sam z nielicznym orszakiem, zaczął się zbliżać ku komisarzom, jadącym na spotkanie. Nastąpiły etykietalne pozdrowienia, rozpoczął je basza kamieniecki a było tyle ukłonów po kilka razy, aż się zjechali blisko i przywitali. Potem prosił ichmościów komisarzy do Szangaju (namiotu), w którym siadłszy, powinien szował pokoju basza, co mu wzajemnie odwinszowano i zażywszy konfitur, kawy i sorbetu, potem kadenia powąchawszy, przystąpili do rzeczy.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska.

## W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

**B**óg wie, co sobie zaraz wyobraziłam — rzekła spokojniejszym już głosem. — Myślałam, że które z was wybiło sobie oko... że Jańcio upadł i złamał sobie nos... Tysiące najgorszych przypuszczeń przebiegło mi przez głowę... gdzież jest Alusia?

Pani Zabrzaska nie odstąpiła już biednej Alusi, która miała coraz silniejszą gorączkę. Przyjechał doktor i po naradzie z profesorem postanowił powiedzieć matce o panującej w okolicy szkarlatynie.

Z największymi ostrożnościami przystąpił do powiedzenia prawdy biednej mamuleczce, która doznała silnego wstrząśnienia nerwowego. Obawiano się, że zemdleje, ale zbladła tylko jak chusta, zachwiała się, a potem przez wysiłek woli nakazała sobie spokój.

— Muszę mieć przytomność umysłu, muszę mieć odwagę! — mówiła. — Mój mąż daleko i sama o wszystkim z konieczności myśleć muszę.

Z doktorem i panem Chlewiatką udali się na naradę do osobnego pokoju.

— Sądzę, że przedewszystkiem zdrowe dzieci trzeba wysłać z domu — rzekła, zwracając się do doktora.

— Byłoby to niezawodnie pożądanem, gdyby się to uczynić dało. Z przyjemnością ofiarowałbym im mieszkanie u siebie... moja żona byłaby uszczęśliwiona, ale w miasteczku błotnistem... to nie byłby zdrowy pobyt dla dzieci.

— Nie, nie, wreszcie to za daleko ode mnie! Obmyślimy rzecz tę jakoś inaczej.

— Alusię trzeba przenieść do największego w domu pokoju, żeby miała powietrza jak najwięcej...

— A więc do salonu.

— Ja natychmiast posłę do Błociszewa po surowicę...

— Więc jest dyfteryt.

— Tak pani.

— Niema rutunku?...

Niech mi pan mówi prawdę! Jest wielkie niebezpieczeństwo? O Boże, Boże!

— Jest wszelkie prawdopodobieństwo, prawie pewność, że to będzie szkarlatyna, która jest zwykle ciężką chorobą, ale nadzieja ratunku by-

najmniej nie stracona i uczynimy wszystko, co tylko możliwe, by Alusi powrócić zdrowie.

Pan Chlewiatko podjął się urządzenia przeprowadzenia dzieci starszych i Jańcia na folwark należący do Suchowa a zwany Wólką suchowską. W Wólce był dom, w którym mieszkał ekonom, szafarka i w którym było dwie duże izby przeznaczone na mleczarnię; prowadzono tam bowiem gospodarstwo mleczne na wielką skalę. Dom ten opróżniono dla dzieci i dla panny Four, którą uproszono, by nad wszystkim objęła opiekę. Dodano im dwie służące, przewieziono łóżka i bieliznę, i postanowiono że wszelkie stosunki między Suchowem i Wólką zerwane zostaną. Profesor został do pomocy pani Zabrzskiej w Suchowie i stał się jej prawą ręką, jej doradcą i podporą.

Nastąpiły ciężkie chwile dla biednej „mamuleczki.” Alusia była dni kilka między życiem i śmiercią. Pani Za-



*Dzieci kupujące lody.*



brzeska, pamiętna na nieszczęśliwy koniec choroby starszych dzieci, nie miała najlżejszej nadziei, nie miała ani jej cienia. Całami godzinami, całami dniami klęczała przy łóżku Alusi, zalewając się łzami, modląc się głośno i zalamując ręce. W tej beznadziejnej rozpacz traciła prawie przytomność i nie miała siły na pielęgnowanie Alusi. Dziecku wszakże nie brakło ratunku. Doktor przyjeżdżał codziennie, czasem spędzał część dnia przy swej małej pacjentce, a profesor czuwał dzień i noc, by wszelkie zalecenia doktora były starannie wykonywane.

Wracając z Suchowa do Błociszewa i przejeżdżając przez grunta Wólki suchowskiej, doktor zastawał zawsze czekających przy drodze Zdzisia i Józia, którzy wołali z daleka:

— Panie doktorze, jak się ma Alusia?

Doktorowi żal było zamącać spokój dzieci, więc im zawsze mówił o swoich nadziejach, a nie mówił im nigdy o obawach.

— Pan Bóg da, że chorobę zwalczymy!

— A mamuleczka?

— Znacie mamę. Ponieważ szkarlatyna zabrała jej tyle dzieci...

— Biedna mamuleczka, musi być w strasznym niepokoju!

— Niepokoi się ogromnie, ale jest zdrowa. No, a wy? Jesteście zdrowi?

— O, zdrowi!

— A panna Zofia?

— I Zosia zdrowa.

— No, to do widzenia! Jedź!

Chłopcy mieli w Wólce suchowskiej niezmiernie miły i urozmaicony pobyt. Nie było tam żadnych wygod i trzeba było wiele rzeczy robić samemu, co uszczęśliwiała dzieci. Chłopcy ślali sobie łóżka i czyścili ubrania, Zosia gotowała obiady wspólnie z kucharką, która nie wiadomo dla czego miano kucharki nosiła, nic a nic bowiem gotować nie umiała. Rosoły jej, wyglądały jak woda, w której był opłukał ręce Antoni i na którą bodaj następnie puszczono kilka kropel oliwy do maszyny; kotlety miały wygląd jakichś niekształtnych, poszarpanych na wszystkie strony ochłapów. Dany raz na pieczyście kapłon stracił zupełnie cechy swego pochodzenia, będąc podobny do kupki wiorów białych i popielatych, jakby trochę nadgniłych. Wśród tego, jak wierzecholki obnażone, sterczały gdzieniegdzie kości.

Panna Four była w gruncie bardzo dobrą osobą, rozumiała położenie i nie chciała robić kłopotu swemu wymaganiom. Gdy jej wszakże podano półmisek z owym kapłonem, zapytała uprzejmie Zosi:

— Łamię sobie głowę z jakiego zwierzęcia zrobiona jest ta potrawa. Może ty, Zosiu, potrafisz mię objaśnić. Wszak to coś wędzonego, bo pachnie dymem.

Ale najgorsze ze wszystkiego były naleśniki, które zadysponowała Zosia, w skutek zapewnień kucharki, iż ta potrawa zawsze doskonale się udaje.

— Jakem służyła u państwa Pietrasińskich, to w piątek najczęście naleśniki się robiło.

W Wólce suchowskiej przyszedł tedy na stół naleśniki, ale było to coś, czego nawet Zdzis przełknąć nie mógł. Wyobraził sobie, że się znajduje w mieście obłożonem, w którym już wszystkie szczury i wszystkie świece łożowe zjedzono, ale i ten wysiłek wyobraźni nic nie pomógł. Zdzis wziął do ust kawałek i znalazł, że nawet podczas obłożenia trudno było taką rzeczą się żywić.

Panna Four uśmiechnęła się do Zosi uprzejmie:

— To zapewne jedna z waszych narodowych potraw? zapytała, nakrywając zręcznie grabkiem zaledwo uszczknięty naleśnik.

Zosia w rozpacz rzekła po obiedzie do kucharki.

— Piotrowa mówiła, że umie robić naleśniki, a tu nikt przełknąć nie mógł...

— Co, ja nie umiem robić naleśników? Niech się panienka zapyta pani Pietrasińskiej.

— Cóż ja się mam pytać pani Pietrasińskiej kiedy...

— A, bo mi panienka nie wierzy. A ja na cały Błociszew najlepsze naleśniki robiłam i pani Pietrasińska aż gości spraszała, jak u nas miały być na obiad albo na kolację! Panienka jeszcze w pieluchach była, jak ja już naleśniki robiłam! Nawet sama pani aptekarzowa mówiła, że przyjdzie do mnie na naukę! Panienka się zna na tem jak po fortepianie palcami przebierać, ale na naleśnikach to się panienka nie zna!

Zosia umilkła. Poczula, że tej, tak mało uzasadnionej miłości własnej przełamać nie potrafi, tylko powzięła postanowienie nie dysponowania nigdy więcej naleśników. Chciała pomagać Piotrowej w gotowaniu i podług książki kucharskiej ją kierować, ale Piotrowa miała się za pierwszorzędnego kuchmistrza i nie chciała nigdy przyjąć żadnej rady. Musiano ją w końcu odprawić a urząd jej objęła Zosia z pomocą prostej dziewczki folwarcznej.

## XXI.

Było to w tydzień po przeniesieniu się do Wólki suchowskiej. Panna Four przez umyślnego posłańca wysłała list do pana Chlewiatki. W liście tym mówiła mu, że ma do niego niezmiernie ważną prośbę, którą osobiście chce zanieść. Podawała propozycję, by się mogli zejść na granicy Suchowa i Suchowskiej Wólki, pod wielką gruszą, stojącą na miedzy. Szło o rzecz bardzo ważną, bo o życie ludzkie.

Pan Chlewiatko przestraszył się nie na żarty. Odpisał, że zaraz po obiedzie będzie czekał pod gruszą na pannę Four i w istocie znalazł się tam pierwszy z duszą pełną niepokoju, gdyż wyobraził sobie, że któreś z dzieci zdradzało objawy poprzedzające ciężką chorobę. Gdy tylko ujrzał zbliżającą się pannę Four, wybiegł na jej spotkanie i struchlał poprostu, zobaczywszy bladłość i wyraz twarzy biednej Francuski.

— Co się stało? — zawołał profesor. — jestem pewien, że któreś z dzieci jest bardzo chore! Jańcio?

— Dzieci są zdrowe — odparła panna Four — piją mleko, którego ja znieść nie mogę i wyglądają doskonale! Ale ja chciałam prosić pana...

Łkanie przecięło jej mowę. Szlochała tak, że pan Chlewiatko pełen litości ujął jej ręce, mówiąc:

— Na miłość Boską, co się stało? Co pani jest? Czy jakie złe wiadomości z Paryża? Matka pani... Wiem, że to już taka staruszka!

— Właśnie o nią mi szczególnie chodzi! O, ona tego nie przeżyje!

— Ale co się stało? Niech mi pani powie swój smutek.

— Ona mojej śmierci nie przeżyje!

— Śmierci pani? Nic nie rozumiem!

— Ja przy takim jedzeniu będę musiała umrzeć! To nie ulega wątpliwości! Widzę, że ta rodzina jest w ciężkim kłopotcie, że ta nieszczęśliwa matka nie może myśleć o niczem innem, jak o swoim chorem dziecku, więc milczę i cierpię i udaję, że jem te okropności, które nam na stół podają. I naturalnie, nie ma na to rady. Nie mogę w tej chwili opuścić dzieci, powierzonych mej opiece, więc tylko wezwalam pana, żeby do pana zanieść jedną prośbę. Prośbę biednej, umierającej z głodu kobiety! Ale pan mi musi przyrzeknąć; że mi pan nie odmówi!

— Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy! Chyba, że to będzie niemożliwem...

— Owszem, pan to uczyni i przy tej sposobności skorzysta pan, bo zobaczy pan Paryż!

— Ale o cóż chodzi?

— Gdy umrę, odwiezie pan ciało moje do mojego rodzinnego miasta!

Głos, poza i wyraz twarzy panny Four były tak tragiczne w tej chwili, że pan Chlewiatko zagryzł wargi, na



które wybiegł uśmiech. Dla uspokojenia Francuzki przybrał pozory wielkiej powagi i wyciągnawszy ku niej rękę, rzekł dobitnie, co do reszty brzmienie mowy francuskiej zespecziło.

— Przrzekam to pani.  
— Matkę moją pan powoli przygotowuje do ciosu!  
— Powoli ją przygotowuje!  
— Ciało moje pan pochowa na cmentarzu Montmartre.

— Pochowam je na cmentarzu Montmartre.  
— Tu są bony, za którymi pan odbierze z banku pieniądze potrzebne.

Wyjęła z kieszeni kopertę, którą oddała profesorowi.  
— Odbiorę z banku pieniądze.  
— Dziękuję! Teraz będę się spokojnie do śmierci przygotowywała i będę jej odczekiwała z odwagą! Pan jest najszlachetniejszym i najlepszym z ludzi!

Chciała uściśnąć rękę pana Chlewiatki, ale przypomniała sobie w porę, że nie miała prawa się do niego zbliżyć, by nie przenieść zarazy dzieciom.

— Jeszcze tylko muszę wymyślić napis na nagrobek! Może będzie dobrze tak: „Tu leży kobieta, która umarła z głodu zdala od swej ojczyzny.”

— Położę napis, jaki pani każe.

Profesorowi kamień spadł z ramion, gdy się nareszcie uwolnił od żalów i rozporządzeń panny Four. Nie miał jednak ochoty jechać do Paryża i chciał by biedna kobieta nie umarła z głodu zdala od swej ojczyzny. Wróciwszy do Suchowa udał się do pani Zabrzekskiej z prośbą, by wysłała kucharza do Wólki Suchowskiej.

— Tu nam wystarczy doskonale kucharka — mówił. — Pani tylko mlekiem i herbatą żyje, Alusi też mleko przede wszystkim zalecają... ja mogę żyć najprostszymi potrawami... kaszą, kapustą... A biedna panna Four doprawdy zmizerniała i wychudła. Jest doprawdy głodna!

— Ależ naturalnie, naturalnie! — odparła pani Zabrzekska. — Nie przyszło mi to na myśl. Panna Four i dobrze zrobionych wielu potraw polskich znosić nie może. Cóż dopiero gdy są zrobione źle! Rzeczywiście tak będzie najlepiej. Jeżeli moja biedna Alusia powróci...

Łzy przerwały mowę pani Zabrzekskiej. Załamała ręce i skinęła, by pan Chlewiatko wyszedł, nie chcąc mieć świadków swej boleści.

Alusia miała się ciągle niedobrze. Doktor zaczynał spostrzegać w jej zdrowiu niektóre zwroty ku dobremu, ale się bał własnej nadziei, wiedząc, jak ona bywa niepewną. Nie chciał też zwodzić biednej matki uludną pociechą i czekał na chwilę, w której będzie mógł powiedzieć coś stanowczego. Dzieciom, czekającym na jego przejazd na drodze, dawał zawsze wiadomości pomyślne.

— Czemu je zwodzisz? — mówiła mu żona, która się niezmiernie interesowała Alusią. — Poco dzieciom dajesz nadzieję, której sam nie masz?

— Bo ich smutek i niepokój nic Alusi nie pomoże. Zresztą ja to czynię dla zdrowia przyszłego dzieci. Kto mi zaręczy, że które z nich lada dzień na szkarlatynę nie zachoruje? Jeżeli się ta bieda przytrafi, to przynajmniej nie będę miał do czynienia z chorym zdenerwowanym niepokojem poprzednim, i obawiającym się dla samego siebie epidemii, o zjadliwości której będzie uprzedzony.

(d. c. n.)

## Żniwa.

*Już złote dojrzały kłosy,  
Więc żniwa rozpocząć trzeba,  
Dały urodzaj niebiosy,  
Dla wszystkich wystarczy chleba.*

*Z piosenką pójdą żniwiarze  
Żąć zboże, kłos wiązać w snopy,  
Na żętych równin obszarze,  
Jak gwiazdy układać kopy.*

*O Boże, słońce daj złote,  
Niech nasze zboże kochane  
Nie zginie na polach w słotę,  
Nim będzie w gumnach schowane.*

Zofia Zacharkiewicz.



## ZE SWIATA.

### Zawalenie się dzwonnicy św. Marka w Wenecyi. (z ryc.)

Wenecya! olbrzym potęgi i sławy, bierze początek w pomrokach ubiegłych stuleci. Nie upłynęły jeszcze dwa wieki, kiedy Leon III, papież, koronował Karola Wielkiego, na cesarza całego Zachodu, a Wenecya, wznosząc się ponad fale morskie, uśmiechem pacholęcia wita swą ojczyznę lagunów. W owym to czasie chrześcijaństwo ustalało się na Węgrzech, w Danii; Normandowie jeszcze nie naszli Włoch, a Wenecya jak подроstek igra sobie z bałwanami Adryatyku, wzrasta szybko w siłę i piękność, i skoro tylko doszła do sił dojrzałego wieku, stała się duszą swej matki rzeczywistej i podziwem świata.

W czasie swego panowania, rozwinęła wiele najpiękniejszych stron z historii Włoch. Były czasy, że w lśniących bogactwem pałacach jej, Signoria traktowała sprawy dotyczące się całego świata.

W owych dniach Wenecya, jako dumna władczyni największej potęgi morskiej, każdego poranku mogła podziwiać witające Adryatyk słońce i oglądać swą zatokę pełną łódek, statków i okrętów. Jednakże olbrzym ten musiał także przechodzić chwile gorzkie, połączone z niebezpieczeństwem, szczególnie kiedy pyszna rywalka na Śródziemnym morzu Genua, wymierzyła śmiały pocisk, aby strącić Wenecję z piedestału chwały i potęgi, kiedy flota San Giorgio, pod dowództwem Piotra Daryusza, okazała się pod Chioggia 1379 r. bardzo groźną dla Wenecyi.

Tak wśród ciężkich walk i świetnych tryumfów, gród ten przedwieczny spędził lata i wieki zawsze wspaniałe i zadziwiające, zawsze pełen siły i blasku, drwiąc sobie niejako z trudnych chwil czasu i gorzkich wróżb przyszłości.





Lecz w końcu i dla Wenecji nadeszły dni krytyczne, stanowczego i nie dającego się naprawić upadku. Potęgą jej polityczną została zniszczoną przez następców Mahomety II, a główne podstawy jej handlu zniszczone przez otwarcie nowych dróg handlu ze Wschodem, a szczególnie z Ameryką.

Po złożeniu do grobu potęgi, ongi władczyni, w 1797 r. z Wenecji zrobiono zaledwie stolicę niewielkiej prowincji, a pamiątki jej świetnej przeszłości zamknięto w publicznych gmachach, muzeach i pałacach. W r. 1866 Wenecja przeszła od Austrii do Włoch. Port jej, który dawniej mieścił pierwszą flotę Europy, dziś stoi pogrążony w ponurym śnie wraz z miastem, świecącym tylko wspaniałymi gmachami. Otóż gród ten nawodny nawiedziła 15-go lipca wielka katastrofa.

Najpiękniejszym miejscem w Wenecji jest plac św. Marka przy wspaniałej katedrze, otoczony z trzech stron ogromnymi gmachami, zwanymi *Prokuracye*, które są arcydziełami budownictwa. Na placu tym najpiękniejszym podobno na świecie, niedaleko katedry stała oddzielnie wspaniała dzwonnica (*campanile*) zbudowana w IX ym, a przebudowana w XIV w. Wieża ta mająca 98 metrów wysokości, nie miała wcale schodów, lecz wchodziło się na nią korytarzem w około wieży wciąż idącym pod górę. Na szczycie tej wieży wjechał, w 1797 r. Napoleon konno.

U stóp jej znajdowała się prześliczna logietta, niewielki budynek, pomysłu słynnego rzeźbiarza Sansovina.

Otóż piękna ta wieża w dniu 15 lipca, w skutek, jak się zdaje trzęsienia ziemi lub zbutwienia palów, na których stoją wszystkie budynki, runęła niespodzianie, na szczęście nie pozabawiając nikogo życia.

Katastrofa ta wywołała ogólny żal nie tylko we Włoszech, lecz w wszystkich miłośników sztuki i piękna.

Jeden ze świadków tak opisuje tę chwilę: „Mówiłem z pewnym inżynierem i spoglądałem co chwila na wieżę, której ściany już widocznie drżały. Gorączkowa praca robotników u stóp wieży wydawała mi się niebezpieczną i bezcelową; nie ukrywałem też wcale zdania, że podobne igranie z życiem tylu ludzi, uważam za grzech. O godz. 9-ej m. 30 zabrzmiał sygnał na trąbce. Ujrzałem, jak żołnierze i strażacy biegną ku zebranym tłumom, wołając: „Na bok! na bok! wieża się wali! Spojrzałem na dzwonnice. Ściana jej rozwarła się nagle.

Przez chwilę nie było widać nic więcej; ziemia podemną zadrżała, otoczyły mnie gęste chmury pyłu, tak, że trudno było oddychać. Słyszałem pomieszane krzyki, płacz, wołania o pomoc. Po chwili wszystko się skończyło. Cały plac zmienił się w stos gruzów.

Podajemy tu widok placu św. Marka z wieżą, widok jej gruzów po zawaleniu się, i malowniczy obrazek z życia działy weneckiej.

Ś. p. Kardynał Ledóchowski. Dnia 21 lipca zmarł w Rzymie były arcybiskup gnieźnieński, kardynał Mieczysław Halka hr. Ledóchowski. Zmarły dostojnik kościoła,

pochodzący ze starożytnej rodziny, urodził się w r. 1823 w Klimontowie w pow. Sandomierskim, dokąd przenieśli się jego rodzice. Po ukończeniu szkół w Radomiu i Warszawie, wstąpił do seminarium Ś-go Krzyża, a następnie udał się do Rzymu, gdzie na koszt papieża umieszczony został w Akademii.

Po kilku latach audytorstwa w nuncjaturze w Lizbonie wysłany został w r. 1857 jako delegat apostolski do Rzeczypospolitej południowo-amerykańskiej, Nowej Grenady, wkrótce zaś potem mianowany został nuncyuszem w Belgii, a w r. 1861 jako arcybiskup, otrzymał nuncjaturę w Bawarii.

Po śmierci arcybiskupa gnieźnieńskiego, Przyłuskiego, zajął jego miejsce.

W r. 1875 mianowany kardynałem, wyjechał w r. 1876 do Rzymu, gdzie odtąd stale aż do śmierci przebywał, jako generalny prefekt, brewow, propagandy, t. j. wydziału zajmującego się rozpowszechnianiem wiary katolickiej. Obecnie wśród sześćdziesięciu kilku kardynałów, których nie może być więcej nad 70, jest tylko jeden Polak ks. biskup krakowski Puzyra.

## SZARADA.

E. L.

*Drugie wprost, a wspak pierwsze*, to rzecz niesłychanie Prosta, choć bez niej żaden gmach pyszny nie stanie. Znajduje się na ziemi w wielkiej obfitości, I nie trzeba jej szukać w zbytnej głębokości. *Trzecie zaś i wspak pierwsze*, to znany z pożytku Metal, co wprowadzić nigdy nie służy do zbytku, Lecz połączony z drugim w szlachetniejszą całość, Odnacza się przez piękny połysk i wytrwałość. *Wszystko to liczny naród*, którego potęga, Najodleglejszych krain kuli ziemskiej sięga, A który zaślepiony zbyt przez zysków żądzę, Nawet czas i krew ludzką liczy na pieniądze.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 29.

Zagadki: B e z.

## Ł a m i g ł ó w k i:

1) Maraton. 2) Zambezi. 3) Korsarz. 4) Kortezi, 5) Korsyka. 6) Cayenna. 7) Kumassj. 8) Ameryka. 9) Fidyasz. 10) ChiMery. 11) Sporady. 12) Antyoch. 13) Tesalia. 14) EPopeja. 15) Kre-feld. 16) Zielnik. 17) Bandera. 18) Betleem.

Martynika - Mont Pelée.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Z wycieczek wakacyjnych. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Żniwa, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — Ze świata: Zawalenie się dwonicy św. Marka w Wenecji (z ryc.) — Dzieci kupujące lody (ryc.) — Łamigłówna i rozwiązania. — Dodatek: Hania, przez Janusza. — Wesoły Janek, wiersz przez Maryę Konopnicką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Z rozrywek letnich. Łamigłówna i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.





Hania ma sześć lat; czarne oczki, ciemne włoski, nosek, buzię, nóżki, rączki, każda rączka ma pięć paluszków. W tem niema nic dziwnego. Ale dziwne jest to, że paluszki Hani bardzo często są brudne i mają długie paznogie.

Może się zdawać, że paluszkom wszystko jedno, czy są czyste, czy brudne, czy mają długie, czy krótkie pazurki, a przecież tak nie jest. Raz paluszki Hani długo mówiły o tem i chciały coś wymyślić, żeby Hania lepiej się niemi opiekowała.

Oto, co mówiły paluszki Hani:

— Jesteśmy bardzo nieszczęśliwe. Wielka to przykrość być ciągle zamorusanym, i wielki wstyd. Żeby na świecie nie było wody, ani mydła, no, to trudno, trzebaby być brudnym ale przecież jest woda. Gdy Hania wyciągnie rączkę, musimy się wstydzić. Ach, jakie jesteśmy nieszczęśliwe.

— No, i jak Hania bawi się z dziećmi, to znów obawiamy się, żeby nie zadrapać kogo, bo mamy takie długie paznokcie. Czy Hania nie wie, że jej mama ma nożyczki? O, bardzo jesteśmy nieszczęśliwe.

A jeden paluszek, który nazywa się Wskazujący, mówił:

— Ja jestem najnieszczęśliwszy, bo Hania bardzo często kładzie mnie w nos. Nie wiecie wcale, jak to nieprzyjemnie siedzieć w nosku. Hania napewno nie chciałaby sama siedzieć w nosie jakiegoś wielkoluda, a mnie bez litości po kilka razy na dzień kładzie do nosa lub do buzi. A raz, aż wstydę się powiedzieć, włożyła mnie w konfitury i potem oblizwała. Było to bardzo brzydko;

strasznie się wstydziłem. Ale coś mogłem na to poradzić.

I paluszek chciał zapłakać, ale przypomniał sobie, że paluszki nie mogą płakać, więc tylko smutnie spuścił zasmoloną główkę.

Janusz.

## Wesoly Janek.

Czemu sobie nie mam śpiewać  
Kiedy w sercu tak wesoło,  
Co się chmurzyć, czego ziewać,  
Gdy tak cudny śwät w około,  
Hejże ha, piosenko ma,  
Ranny wietrzyk tobie gra!  
Pluszcze rybka w modrej wodzie,  
Bo słoneczko jasne czuje,  
Ptaszek cieszy się pogodzie,  
A ja sobie wyśpiewuję:  
Hejże ha, piosenko ma,  
Modra rzeczka tobie gra!  
Leci z ula złota pszczoła  
Na kwieciste łąk kobierce,  
A mnie cieszy myśl wesoła,  
Co jak miód się sączy w serce.  
Hejże ha, piosenko ma,  
Złota pszczołka tobie gra!  
Dosyć czasu, by się smucić,  
Gdy już będę stary, siwy,  
Czemu teraz nie mam nucić  
Gdym wesoły, gdym szczęśliwy,  
Hejże ha, piosenko ma,  
Cały świat ten tobie gra!

Marya Konopnicka.

Marya Weryho.

## Co znalazłem w błotach i kałużach?

### 16. Zadychra.

**O**d kilku dni pada deszcz, smutno siedzieć w domu, takem się przyzwyczaił chodzić na wycieczki. Co się tam dzieje z memi stworzonkami, myślałem, czy się pochowały przed deszczem, czy nie szkodzi którym taka ulewa?



Aż nareszcie pewnego poranka słońce się ukazało. O, cóż za szczęście! Na łowy, śpieszmy na łowy! i poszedłem.

Dziadka nie spotkałem, pewno bał się wilgoci, na czymby biedak usiadł, gdy wszędzie mokro.

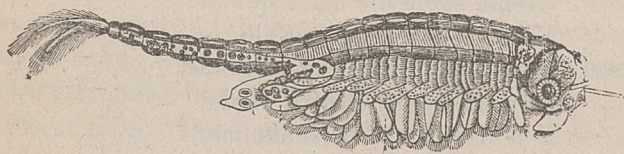
Co tu wody! wszystkie rowy pełne; na drogach potworzyły się kałuże, na łące aż pięć małych stawów.

Stoję i myślę od czego dziś zacząć. Widzę, woda w jednej kałuży jakoś dziwnie się porusza. To chyba nie wiatr kołysze wodą, coś musi tam być.

Zbliżam się, widzę jakieś żółte stworzenie, może z półtora centymetra długie; trochę do raka podobne, trochę do świerszcza. Pływa na grzbiecie i porusza wszystkimi nogami, a ma ich aż czterdzieści.

To wszystko co dojrzeć mogłem, bo tak się kręciło, tak prędko pływało i ruszało się na wszystkie strony, że niepodobna było przyjrzeć się lepiej.

Była to zadychra.



*Zadychra.*

Uwija się prędko prawdopodobnie dla tego, że goni żywe stworzenia, ale te muszą być chyba bardzo małe, bom ich nie mógł dojrzeć w wodzie.

Swoją drogą zadychra chyba rusza się z amatorstwa; bo widziałem na własne oczy, jak kręciła się, chcąc złapać własny ogon.



*Julia Piasecka.*

## Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Lecą pomarańcze, jabłka, cukierki, czekolada, kwiaty! Mira podnosi, z wdzięcznością patrzy na zebraną publiczność, że zamiast oburzenia, zrozumiała niedolę dziecka, wkłada mu w rączkę najpiękniejsze cukierki i uchoodzi ze sceny, unosząc z sobą rozplakane maleństwo!

Lecz Czardaj innego jest zdania, jak publiczność i Mira. Pogroził tej ostatniej kijem, obiecując rozmówić się z nią jak należy, a tymczasem obawiając się, aby publiczność nie zraziła się tem pierwszym niepowodzeniem, wystąpił przed nią i kłaniając się, rzekł:

— Przedstawienie z powodu nagłego zasał' nieci panny Nelli, nie było skończone, w środę jednak na zdanie szanownej publiczności, może być powtórzone: przejażdżka po zaczarowanym lesie — a za dobre przedstawienie ręczę.

## VII.

Przedstawienie skończone, publiczność rozeszła się, wynosząc rozmaite wrażenia; pogaszono lampy, ciemność i pustka zaległy cyrk. W jednym tylko jeszcze szalał miga blade światelko. To Czardaj po przeliczeniu dochodów z przedstawienia, zwołał walną naradę z Hagielem i Kulimem. Widać było jak mu po twarzy przelatywały błyskawice złości, a oczy ciskały pioruny. Uderzył pięścią w stół, aż ten podskoczył w górę.

— Więc cóż zrobić z Mirą i dzieckiem — krzyknął — tak dalej być nie może, jak jest dotąd, jeszcze jedno niepowodzenie, a sława trupy mojej przepadnie! Widziałem ogromne niezadowolenie na twarzach kilku poważniejszych obywateli!

— Co robić — odmruknął zawsze małowówny, a złośliwy Kulim — rzecz bardzo prosta, to, co radziłem od początku. Dziecko odebrać Mirze, i nie pokazywać go jej wcale; dziewczynkę skarcić tak, aby pamiętała całe życie! W odosobnieniu, jedno o drugim prędko zapomni.

— Tak, Kulim ma słuszność — pośpieszył z uzupełnieniem Hagel — tylko tą drogą mała stać się może doskonałą linoskoczką. Ty stary Czardaju jesteś za słabym dla twej jedynaczki, łzy jej, prośby, smutek, działają na ciebie, wiem to dobrze. Nieraz już ulegałeś jej, dziś przyszło do tego, że nie ty, ale ona rządzi tobą!

Czardaj przygryzł usta, rozgniewała go więcej jeszcze wymówka współnika.

— Mówisz, że mnie dziewczyna rozbraja łzami, że mną rządzi? Przekonacie się jutro, jak dalece pozwalam sobą powodować córcie. Jutro skoro świt, nim się Mira zbudzi, małej Nelli już nie będzie w namiocie!

Odosobnię ją i wezmę pod wyłączną moją władzę. Tak, tak — krzyczał, nie hamując już gniewu — stary Czardaj raz jeszcze pokaże współnikowi Hagielowi, że jest silny, nieugięty, i że ten może być spokojnym o zyski z przedstawień. Nie na to pracowałem przez lat trzydzieści na sławę, aby ją w końcu utracić przez własną słabość.

W sąsiednim namiocie, odgrodzonym tylko cienką drewnianą ścianą, coś poruszyło się niespokojnie i słaby jęk wyrwał się z czyjejś piersi.

To nieszczęśliwa Mira czołgała się po ziemi tłumiąc płacz i ból serca! Wszystko słyszała i dreszcz przerażenia przebiegł ją od stóp do głów.

— Za nic, za nic nie dopuści do tego, aby to maleństwo kochane przechodzić miało znane jej dobrze katusze, raczej woli śmierć.

Cicho wysunęła się na dwór. Pogodnie było i ciepło, najłżejszy wietrzyk nie poruszał liśćmi jedyne go staro drzewa, co stało w tyle namiotów, jakby na straży. Usiadła pod niem i próbowała zebrać rozpierzchnięte myśli. Co zrobić, wiedziała już dawno, bo myśl wyrwania dziecka i zwrócenia rodzicom dawno powstała w jej głowie, ale jak zrobić, aby się udało? Ujęła głowę w chude ręce i puściła ją ku ziemi.

Ktoś musi mi w tem dopomódz, tym kimś nie może być nikt inny, tylko Ralf. On także tęskni i pragnie powrócić do swoich, pochodzi z tego samego kraju co mała, przeto zdaje się być dobrym i sprytnym. Czy tylko



nim jest, wszak tu na sprycie dużo zależy? Muszę go widzieć i rozmówić się, ale gdzie? Kulim ma go na oku, bo mu niedowierza, ja jestem ciągle z dziećmi.

Wtem skrzypnęły jedne z bocznych drzwiczek, prowadzących do menażeryi, to jest części namiotów, gdzie umieszczono zwierzęta, wysunęła się z nich wysoka i barczysta postać Kulima! Nadśluchiwał i zdawał się bystreimi swemi oczami przebijać ciemność otaczającą go.

— Czuwa, pilnuje, bo pewnie podejrzewa coś — pomyślała dziewczyna — nie trzeba aby mnie tu zobaczył, mógłby przypuszczać, że knuję jakie spiski.

Przestrzeń dosyć znaczna dzieliła ją od Kulima. Cicho wślizgnęła się na drzewo. Kulim obszedł budy dookoła, przykładając ucho do ścian i okien, jakby się chciał przekonać, czy tam się kto nie rusza.

— Wszystko w porządku — mruknął do siebie — a jednak... Trzeba się mieć na ostrożności, spojrzenia Miry nie wróżą nic dobrego, znam jej zaciętość. Jeśli jej stary odbierze małą Nelli, gotowa ułatwić ucieczkę Ralfowi i powierzyć mu dziecko. Po przedstawieniu widziałem, jak o czemś z nim radziła.

Podniósł w górę rękę i zdawał się komuś grozić.

— O! ale nic z tego; czujności Kulima nic nie ujdzie! Za stary i za sprytny on na to, aby się dał w pole wyprowadzić dziewczynie!

Zawrócił ku drzwiom. Mira wciąż siedziała na drzewie wśród gałęzi.

— Śledzi, czuwa, pilnuje, ten stary mruk; źle, bardzo źle, co zrobić?

Noc całą spędziła na rozmyślaniach, a gdy wschodzącego słońca pierwsze promienie padły na szczyty drzew i dachy namiotów, zerwała się pierwsza i krzątać zaczęła około gospodarstwa. Nastawiła wody w kociołkach, krajała porcy chleba! Na twarzy jej nie było śladu wczorajszej troski, bólu i smutku. Wydała się wszystkim niebywale wesołą. Mijając Kulima śpieszącego do klatek zwierząt, śpiewała głośno piosenkę.

— Czegoż się tak cieszysz? — zapytał tenże, szpecąc twarz swą ironicznym uśmiechem.

— A bo mi dobrze, bo szczęśliwą jestem.

— A cóż cię tak uszczęśliwia? — badał dalej, niby to nie przywiązując wielkiej wagi do słów dziewczyny.

— A bo słońce świeci, bo ciepło, bo wiosna, a przytem...

— Przytem co? Mnie przecież staremu twemu przyjacielowi powiedzieć możesz, jeśli masz jakie projekty... chętnie ci w nich dopomogę — dorzucił z udaną uprzejmością.

Mira spuściła głowę i zdawała się namyślać.

— Tak, tak, mam jeden zamiar — trzepała żywo — jedną śliczną myśl... tylko nie wiem czy...

Kulim tym razem uśmiechnął się z zadowoleniem. Aha, przebiegło mu błyskawicznie przez myśl, podejrzenia moje są słuszne, zdaje się, że się mimowoli złapała. — Trzeba kuć żelazo póki gorące, dziewczyna głupia, sama na siebie bicz kręci i łapie w zatrzask. Podeszedł do niej bliżej.

— I cóż to takiego? powiedz mi, proszę. Jeszcze się namyślała.

Nie, o nie, wy mnie nie lubicie, wy przeciwko mnie zawsze, nie, nie powiem.

Stary zaczynał tracić cierpliwość, zdobył się jednak raz jeszcze na chytróść.

— Dziecko, co mówisz, ja cię nie lubię, toć ja twój najlepszy przyjaciel!

— Tak? a więc słuchajcie! Wczoraj mała Nelli wywołała niezadowolenie ojca i wasze, obawiacie się, aby to niepowodzenie nie zachwiało waszej sławy. Gniew ojca był tak straszny, sama dziś widzę, że źle robiłam, pieszcząc małą i zabraniając jej nauki, chętnie oddam ją ojcu. Niech ją uczy, tak, jak mnie uczył i inne dzieci, ale pod jednym warunkiem. Powiem mu to dziś sama.

— A więc cóż to za warunek, i do czego właściwie ja tu jestem potrzebny? — mruknął Kulim.

— O i bardzo. Chcę, aby ojciec zmienił widowisko, a wiem, że nie zrobi tego bez narady z tobą i Hagelem — chcę więc, abyś mnie poparł. W środę zapowiedział powtórnie „Przejażdżkę po zaczarowanym lesie,” a ja chcę, aby na to miejsce daną była „Śnieżka.”

— I dla czegoż to? — zagadnął drwiąco Kulim.

— Dla tego, iż obawiam się, aby z mej winy, po raz drugi nie było niepowodzenia; mała Nelli przez cztery dni nie nabierze potrzebnej śmiałości i grać będzie gorzej jeszcze niż wczoraj, bo nie będzie mnie widziała, a powtóre, że i ja pragnę występów. Publiczność zawsze tylko oklaskuje dzieci, lubicie się niemi popisywać, a mnie się przecież także oklaski należą! Mira umie zadawałniać wymagania i napełniać złotem wasze kieszenie, a Kulim pamięta chyba, że ostatnim razem w Peszcie zarzucono mnie kwiatami, po przedstawieniu Kulim sam na estradzie zbierał złote pieniążki, które rzucali mi rozbawieni i zachwyceni moją zręcznością widzowie. — Mira, jedynaczka Czardaja, chce być „Śnieżką,” bo chce nagrodzić niepowodzenie Nelli.

(d. c. n.)



## Z ROZRYWEK LETNICH.

(Dokończenie).

*Klasa szósta.* Rzuć piłkę skośnie o ziemię, aby odskoczywszy, uderzyła o ścianę, potem znów odbiła się o ziemię. Chwytaj, podkładając dłoń pod piłkę z dołu, lub nakładając z góry — palcami. I to ćwiczenie wykonywać należy naprzemian ręką prawą i lewą, i przy chwytaniu nie schodzić z miejsca.

*Klasa siódma.* Rzut taki sam, jak w klasie poprzedniej. Tylko chwytac należy, nie pozwalając odbitej od ściany piłce upaść na ziemię.



